



Amy Andrews  
*Dobra partia*

Amy Andrews  
*Dobra partia*

Tłumaczył  
*Andrzej Szydłowski*

Tytuł oryginału: Alessandro and the Cherry Nanny

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2010

Redaktor serii: Ewa Godycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Urszula Gołębowska

© 2010 by Amy Andrews

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Medical są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8223-7

MEDICAL – 488

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nat Davies natychmiast dostrzegła pochyloną główkę i burzę ciemnych kręconych włosów. Chłopiec miał opuszczone ramiona i smutny wyraz twarzy. Wydawał się bardzo samotny wśród gromady bawiących się wokół niego krzykliwych dzieci, a jego postawa natychmiast wzbudziła w niej uczucia macierzyńskie.

Był jedynym nieruchomym elementem w sali, w której panował ożywiony ruch. I sprawiał wrażenie dziecka zamkniętego we własnym świecie.

– Kim jest ten nowy chłopiec? – spytała swoją koleżankę Trudy, trącąc ją lekko łokciem.

Trudy przestała kroić owoce i podążyła za jej wzrokiem.

– To Julian – odparła. – Przyprawiono go do nas dopiero wczoraj. Ma cztery lata. Jego ojciec to bardzo przystojny Włoch, ale mówi świetnie po angielsku. Przeniósł się tu z Londynu. Jest wdowcem. Chyba od niedawna, bo wcale się nie uśmiecha.

Nat, przyzwyczajona do gadulstwa Trudy, kiwnęła głową.

– Biedactwo – mruknęła współczującym tonem. – Nic dziwnego, że wydaje się tak przygnębiony. Utrata matki w takim wieku musi być ciężkim przeżyciem.

Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Jej ojciec odszedł, kiedy miała cztery lata, a ona nadal za nim tęskniła.

– Jest milczący i zamknięty w sobie – dodała Trudy.

Nat poczuła bolesny skurcz serca. Zawsze miała zrozumienie dla samotników. Wiedziała, co przeżywa człowiek, którego idealny świat wali się nagle w gruzy, choć wokół nadal biegnie zwyczajne życie. Jak bardzo jest odizolowany od otoczenia.

– Zobaczymy, czy uda nam się coś na to poradzić – mruknęła pod nosem.

Ruszyła w stronę chłopca, zatrzymując się obok półki bibliotecznej, by wziąć z niej „Przygody małego kangura”. Wiedziała z doświadczenia, że ta książka niemal zawsze jest w stanie poprawić humor dziecka, choćby tylko na jakiś czas.

– Juliano – powiedziała łagodnym tonem, gdy znalazła się obok niego.

Chłopiec podniósł wzrok znad wizerunku żaby, którą bez większego przekonania malował na zielono. Na jej widok uchylił lekko usta i szeroko otworzył oczy. Jego reakcja nieco ją zaskoczyła, ale nie okazała zdziwienia. Pomyślała tylko, że widocznie nie jest przyzwyczajony do brzmienia włoskiej wersji swego imienia.

Patrzył na nią z mieszaniną zdumienia i dezorientacji, jakby zastanawiając się, czy powinien ją czule objąć, czy też wybuchnąć płaczem.

– *Ciao*, Juliano – powiedziała z uśmiechem. – *Come sta?*

Nauczyła się włoskiego w szkole, a po jej ukoń-

czeniu spędziła rok w Mediolanie w ramach programu wymiany studentów. Teraz, kiedy miała trzydzieści trzy lata, nie pamiętała już niektórych słów, ale nadal władała tym językiem dość płynnie.

Na twarzy chłopca pojawił się niepewny uśmiech, a ona odczuła wielką ulgę.

– *Posso sedermi?* – spytała, a Julian kiwnął głową i przesunął się, żeby mogła usiąść obok niego.

– *Ciao, Juliano.* Mam na imię Nat.

Chłopiec przestał się uśmiechać.

– Papa chce, żebym się nazywał Julian – oznajmił cichym głosem.

Jego poważny ton wydał się jej tak rozczulający, że miała ochotę go objąć. Wiedziała, że czteroletni chłopiec nie powinien być tak zamknięty w sobie. Gdyby nie przebywali w żłobku szpitala St. Auburn's, przeznaczonego dla dzieci personelu medycznego, zastanawiałaby się, czy ojciec Juliana nie jest zawodowym żołnierzem. Wymagającym i bezdusznym oficerem.

– A więc niech będzie Julian – rzekła z uśmiechem, wyciągając rękę na powitanie.

Chłopiec mocno ją uściśnął, a ona ponownie poczuła pokusę chwycenia go w ramiona.

Zdławiła w sobie niepochlebną opinię na temat jego ojca. Czyżby nie widział, że jego syn jest nieszczęśliwy i tak zestresowany, iż może stać się pierwszym w dziejach czteroletkiem cierpiącym na wrzody żołądka?

Przypomniała sobie, że ten mężczyzna stracił niedawno żonę i zapewne jest pogrążony w rozpacz. Ale przecież jego syn też cierpi z powodu śmierci matki. To, że ma tylko cztery lata, nie oznacza, że nie odczuwa bólu.

– Czy chcesz, żebym ci poczytała? To jest książka o małym kangurze, i występuje w niej mnóstwo australijskich zwierzątek.

– Lubię zwierzęta – rzekł Julian, kiwając głową.

– A czy masz w domu psa albo chomika?

– Miałem kota, która nazywał się Pinokio – odparł chłopiec ze smutkiem – ale musieliśmy go zostawić w Londynie. Tatuś obiecał mi innego, ale... ale był bardzo zajęty.

– Ja mam kotkę, która nazywa się Flo – powiedziała Nat, starając się opanować irytację, jaką budziło w niej postępowanie ojca Juliana. – Nazwałam ją tak na cześć Florence Nightingale. Ona uwielbia ryby i tak za nie dziękuje.

Zamruczała głośno, imitując głos swej pięcioletniej ulubienicy, a rozbawiony Julian zachichotał. Jego śmiech tak ją zachwyił, że naśladowała kotkę jeszcze przez dłuższą chwilę, wywołując taką samą reakcję. Potem otworzyła książkę i zaczęła mu czytać.

Przez pewien czas byli zatopieni we własnym świecie i nie słyszeli głosów bawiących się wokół nich dzieci. Kiedy skończyła, chłopiec chwycił ją za rękę i poprosił, by zaczęła od początku.

– Widzę, że zyskałaś przyjaciela – powiedziała chwilę później Trudy, stawiając przed nimi na stole tacę z pokrojonymi owocami. Potem poprosiła wszystkie dzieci, żeby umyły ręce przed podwieczorkiem.

Julian poszedł w ślad za innymi do łazienki, ale obejrzał się po drodze kilka razy, jakby sprawdzając, czy jego nowa opiekunka jest nadal na miejscu.

– Mam nadzieję, Trudy – odparła Nat. I pomyślała w duchu, że Julian naprawdę potrzebuje przyjaciela.

Godzinę później w sali zapanowała cisza. Dzieci odbywały popołudniową drzemkę. Nat przechadzała się między rzędami polowych łóżek, obserwując swych podopiecznych, poprawiając ich pościel i podnosząc od czasu do czasu z podłogi porzucone lalki, misie i klocki.

Zatrzymała się obok śpiącego Juliana. Miał oliwkową cerę, kształtne usta i gęste ciemne włosy, okalające czoło i policzki. W odróżnieniu od innych dzieci nie przyciskał do piersi żadnej zabawki. We śnie wydawał się równie beztroski i pogodny jak każdy czteroletni chłopiec. Ale ona wiedziała, że dźwiga na barkach ciężar samotności, która musi być dla niego straszliwym wyzwaniem.

Postanowiła porozmawiać przy najbliższej okazji z jego ojcem. Poradzić mu, by pozwolił chłopcu przynosić z domu do żłobka jakąś ulubioną zabawkę. Być może skierować go nawet do szpitalnego psychologa. Uznała, że ktoś musi coś zrobić dla tego smutnego dziecka i doszła do wniosku, że może to być właśnie ona.

Nadszedł wczesny wieczór. Nat siedziała obok Juliana na wypełnionym ziarnami grochu worku, czytając mu po raz trzeci tę samą książkę. W sali znów panowała cisza, bo większość rodziców zakończyła pracę i zabrała dzieci do domu. Nieliczni pozostali podopieczni żłobka zjedli już wieczorny posiłek i bawili się spokojnie w kącie.

Nat kilkakrotnie próbowała namówić Juliana, by się do nich przyłączył, ale jej wysiłki nie przyniosły rezultatu. Chłopiec nie odstępował jej ani na chwilę.

Wiedziała, że powinna postępować wobec niego bardziej stanowczo, ale bała się, że jeśli odmówi mu swego towarzystwa, poczuje się odrzucony i jeszcze bardziej samotny.

Chłopiec zdawał się tęsknić za bliskością jakiejś ukochanej osoby, a ona dobrze знаła to uczucie.

Przewracając strony książki, zauważyła, że Julian ssie palec lewej ręki, a drugą delikatnie przesuwając po jej jasnych włosach. Doszła do wniosku, że jej obecność działa na niego kojąco i poczuła do niego jeszcze większą sympatię.

Doktor Alessandro Lombardi wszedł do żłobka energicznym krokiem, choć był piekielnie zmęczony, wręcz wyczerpany ciężarem przeżyć, kilkumiesięcznym brakiem snu, przeprowadzką na drugą stronę kuli ziemskiej i napięciem związanym z nową posadą. Marzył o tym żeby pojechać do domu, wejść do łóżka i spać przez co najmniej rok.

Ale nie było to możliwe.

Zatrzymał się gwałtownie w drzwiach, bo dotarł do jego uszu śmiech Juliana. Nie słyszał tego dźwięku już od kilku miesięcy i niemal zapomniał, jak on brzmi, a teraz, mimo zmęczenia, poczuł się tak, jakby wypił łyk jakiegoś energetycznego napoju.

Powiódł wzrokiem po sali i szeroko otworzył oczy. Jego syn siedział obok jakiejś blondynki, która miała równie niebieskie oczy jak Camilla. Chłopczyk ssal palec i głaskał tę kobietę po włosach, tak samo jak nigdy swoją matkę. Alessandro stłumił cisnący mu się na usta uśmiech, zmarszczył brwi i energicznym krokiem podszedł do synka.

– Julian!

Słyszając jego donośny głos, Nat podniosła wzrok, a chłopczyk wyjął palec z ust i przestał gładzić jej włosy tak pospiesznie, jakby nagle zaczęły go parzyć.

Domyśliła się natychmiast, że stojący przed nią mężczyzna jest ojcem Juliana. Byli do siebie bliźniaczo podobni. Mieli takie same oczy, w których odbijała się pełna skupienia powaga, oraz identyczne usta.

Ale podczas gdy z Juliana emanowała dziecięca dobroć, w wyglądzie jego ojca nie było nic chłopięcego. Miał czarne włosy, w których błyszczały siwe pasma, wydatną szczękę, ciemne oczy. Wydał się Nat tak męski, że jej serce natychmiast zaczęło bić nieco szybciej.

Wiedziała, że ten przystojny nieznajomy przyśni się jej już najbliższej nocy.

Była przyzwyczajona do męskich spojrzeń. Podczas swego rocznego pobytu w Mediolanie, jako osiemnastoletnia blondynka o niezłej figurze i jasnej cerze, często zwracała na siebie uwagę młodych Włochów. Ale ten Włoch patrzył na nią zupełnie inaczej. Przyglądał się jej tak badawczo, jakby podejrzewał, że jest czarownicą.

I zdecydowanie nie miał w sobie nic z chłopca.

– Dobry wieczór, Julian – powiedział, nie odrywając wzroku od kobiety, która w niepojęty sposób wydała mu się dziwnie znajoma. Zarówno kolorem włosów i oczu, jak figurą, a nawet sposobem poruszania się, do złudzenia przypominała Camillę.

Mimo woli dostrzegł zarys jej piersi widoczny w rozcięciu opiętej bluzki i odwrócił wzrok, przenosząc go na

jej twarz. Stwierdził ze zdumieniem, że ta kobieta ma takie same oczy, usta i kości policzkowe jak jego niezżyjąca żona.

Doszedł do wniosku, że chyba ma halucynacje będące skutkiem przemęczenia, i wyciągnął rękę do syna.

– Chodź do mnie, Julian.

Chłopczyk natychmiast spełnił jego polecenie, a Nat poczuła, że worek z ziarnami grochu, na którym siedzieli, gwałtownie się pod nią zapada. Z tej perspektywy ojciec Juliana wydał się jej jeszcze bardziej przystojny i bardziej męski. Choć wiedziała, że narusza zasady profesjonalizmu, nie mogła od niego odebrać wzroku.

Chyba nigdy dotąd żaden nowo poznany mężczyzna nie wydał mi się tak atrakcyjny, pomyślała z niepokojem, rejestrując w wizualnym archiwum swej pamięci jego szerokie ramiona, długie nogi i szczupłą sylwetkę.

Ponieważ jednak nadal miała wrażenie, że obiekt jej zachwyty patrzy na nią jak na okaz szkodliwego owada, postanowiła zachować się jak profesjonalistka. Z trudem wstała z niskiego worka i uśmiechnęła się zachęcająco do Juliana. Zauważyła, że stojący obok ojca chłopiec nadal wydaje się samotny. Żaden z nich nie wyciągnął ręki na powitanie i nie okazał cienia radości. Nie wymienili nawet czułych spojrzeń.

Było jasne, że Julian nie boi się ojca, ale też nie oczekuje od niego żadnych objawów czułości czy nawet sympatii.

Nat uniosła wzrok i wyciągnęła rękę.

– Dzień dobry. Jestem Nat Davies.

Alessandro zamrugnął nerwowo oczami. Widząc po-

dobieństwo nieznajomej do Camilli, spodziewał się, że będzie ona mówiła taką samą nieskazitelną klasyczną angielszczyzną jak ona. Kiedy usłyszał jej australijski akcent, lekko się odprężył.

Rozumiał powody, dla których Julian poczuł do niej taką sympatię. Była nie tylko podobna do jego matki, ale w dodatku miała taką samą fryzurę, taki sam zarys twarzy, taki sam dołek w podbródku.

Ale teraz zdał sobie sprawę, że to podobieństwo dotyczy tylko wyglądu zewnętrznego. Z tej kobiety emanowała taka otwartość, serdeczność i dobroć, jaką nigdy nie mogła się poszczycić jego zmarła żona.

Miała identyczną fryzurę, ale jej włosy nie były tak pedantycznie ułożone, jak włosy Camilli. Sterczały w różnych kierunkach spod ściskającej je opaski i nie kojarzyły się z nienaganną elegancją, lecz raczej z pełną fantazji beztroską.

Camilla za żadne skarby nie wyszłaby z domu bez perfekcyjnego makijażu. A ta kobieta... wygląda nie jak dama, lecz jak dziewczyna z sąsiedztwa. Nie miała w sobie nic z wytwornej angielskiej arystokratki.

Camilla zawsze lubiła perfumy o intensywnym zapachu, który unosił się w powietrzu przez długi czas po jej wyjściu z pokoju. Nat Davies pachniała jak ogród pełen kwiatów.

Co najważniejsze, w jej spojrzeniu nie było nic sztucznego. Wydało mu się ono tak naturalne i bezpośrednie, że poczuł się przy niej bardziej swobodnie niż kiedykolwiek w towarzystwie Camilli.

Chwycił podaną mu dłoń i lekko ją uścisnął.

– Alessandro Lombardi.

Dotyk jego ręki przyprowadził Nat o dreszcz podniece-

nia. Głos Alessandra był głęboki i bogaty w podteksty jak dobre stare czerwone wino, a lekki cudzoziemski akcent podkreślał jeszcze bardziej egzotyczne brzmienie jego nazwiska. Ale jego twarz pozostała nieporuszona, co dowodziło wyraźnie, że nie jest on człowiekiem poddającym się emocjom.

Nic dziwnego, że Julian tak rzadko się uśmiecha, pomyślała, zerkając na chłopca, który stał obok ojca, nie odrywając wzroku od podłogi. Przebywanie pod jednym dachem z tak odpychająco obojętnym człowiekiem musi być ciężkim kawałkiem chleba.

– Julian, czy chciałbyś wziąć tę książkę do domu? – spytała łagodnym tonem. – Możesz ją wypożyczyć z naszej biblioteki, żeby papa poczytał ci dziś wieczorem przed zaśnięciem.

Chłopiec spojrzał pytająco na ojca, ale w jego wzroku nie było wiele nadziei.

– *Si* – mruknął Alessandro, kiwając głową.

Chłopiec nie okazał nawet cienia radości. Mimo wyrażonej przez ojca zgody nadal miał poważny wyraz twarzy. Czyżby zakładał, że ojciec nie znajdzie czasu na czytanie? – spytała się w myślach. Pan Lombardi istotnie nie wygląda na faceta, który czule układałby swego synka do snu.

– Znajdź Trudy i poproś ją, żeby wypełniła z tobą kartę biblioteczną – powiedziała, podając mu książkę.

Julian niepewnym krokiem ruszył w kierunku swej opiekunki, przyciskając do piersi „Przygody małego kangura” tak mocno, jakby był to jego największy skarb.

Nat ponownie spojrzała na jego ojca i stwierdziła, że wpatruje się on w nią równie badawczo jak przedtem.

– *Senor Lombardi*, mam wrażenie...

– Proszę do mnie mówić panie Lombardi – przerwał jej bezceremonialnie, wyraźnie zdziwiony jej znajomością jego ojczystego języka. – Albo panie doktorze. Julian nie mówi dobrze po włosku. Jego matka... – Urwał, zaskoczony tym, że wzmianka o Camilli nadal wywołuje ból w jego piersi. – Jego matka była Angielką i wychowywała go według swoich zasad.

Ostatnie zdanie zaskoczyło Nat i to z kilku powodów. Po pierwsze, Julian znał język włoski znacznie lepiej, niż wydawało się jego ojcu. Przekonała się o tym już podczas ich pierwszej rozmowy. Po drugie, nie mogła pojąć powodów, dla których jakakolwiek matka chciałaby pozbawić swego syna okazji do nauzenia się obcego języka, zwłaszcza, jeśli był to język jego ojca.

Ale najbardziej zdumiał ją sposób, w jaki doktor Lombardi mówił o swej zmarłej żonie. Wyczuła w jego głosie coś w rodzaju bolesnej niepewności, będącej zapewne skutkiem nadal odczuwanego bólu. Doszła do wniosku, że może właśnie ten ból skłania go do uszanowania jej woli dotyczącej sposobu wychowywania syna. Że być może ten nieszczęśliwy człowiek rozpaczliwie usiłuje zachować relikty przeszłości, która bezpowrotnie minęła.

Teraz dopiero dostrzegła ciemne plamy i zmarszczki wokół jego oczu. Wydawał się tak zmęczony, jakby od dłuższego czasu cierpiał na niedobór snu.

Czyż miała prawo go osądzać?

– Doktorze Lombardi, chciałam zapytać, czy Julian ma jakąś ukochaną zabawkę, którą mógłby zabierać ze

sobą do żłobka, żeby poczuć się mniej samotnie w nowym otoczeniu?

Alessandro spojrział na nią z uwagą. Zabawka... oczywiście. Przypomniawszy sobie, że jego syn miał kiedyś jakiegoś starego pluszowego królika, którego wszędzie za sobą taszczył. Ale nie wiedział, co się z nim stało.

– Byłem ostatnio bardzo zajęty. Nasze rzeczy przyjechały z Anglii dopiero przed kilkoma dniami i nie zdążyliśmy ich jeszcze rozpakować. Nadal mieszkamy na stosie skrzyń.

Nat miała wrażenie, że się przesłyszała. Czy ten mężczyzna usiłuje jej powiedzieć, że jest zbyt zajęty, by zadbać o psychiczny komfort dziecka, którego świat rozpadł się gruzi?

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale dowiedziałam się, że jest pan od niedawna wdowcem, więc...

Alessandro dostrzegł jej wahanie i miał ochotę zażądać od niej, żeby dała mu święty spokój. Nie potrzebował jej współczucia ani dobrych rad. Ale zdobył się tylko na lakoniczne potwierdzenie.

– *Si.*

Wydawał jej się teraz jeszcze bardziej niedostępny niż przed chwilą, ale mimo to miała ochotę czule objąć zarówno jego, jak i Juliana. Ojca i syna. Wiedziała, że wiele przeszli i zdawała sobie sprawę, że nadal cierpią, a ich smutek budził w niej odruch głębokiego współczucia.

– Zastanawiałam się, czy Julian przechodził po śmierci matki jakiś rodzaj psychoterapii. On się wydaje... bardzo odizolowany od otoczenia. W naszym szpitalu mamy znakomitego psychologa dziecięcego. Moglibyśmy zaaranżować wizytę...